TOMASZ BIEDRZYCKI

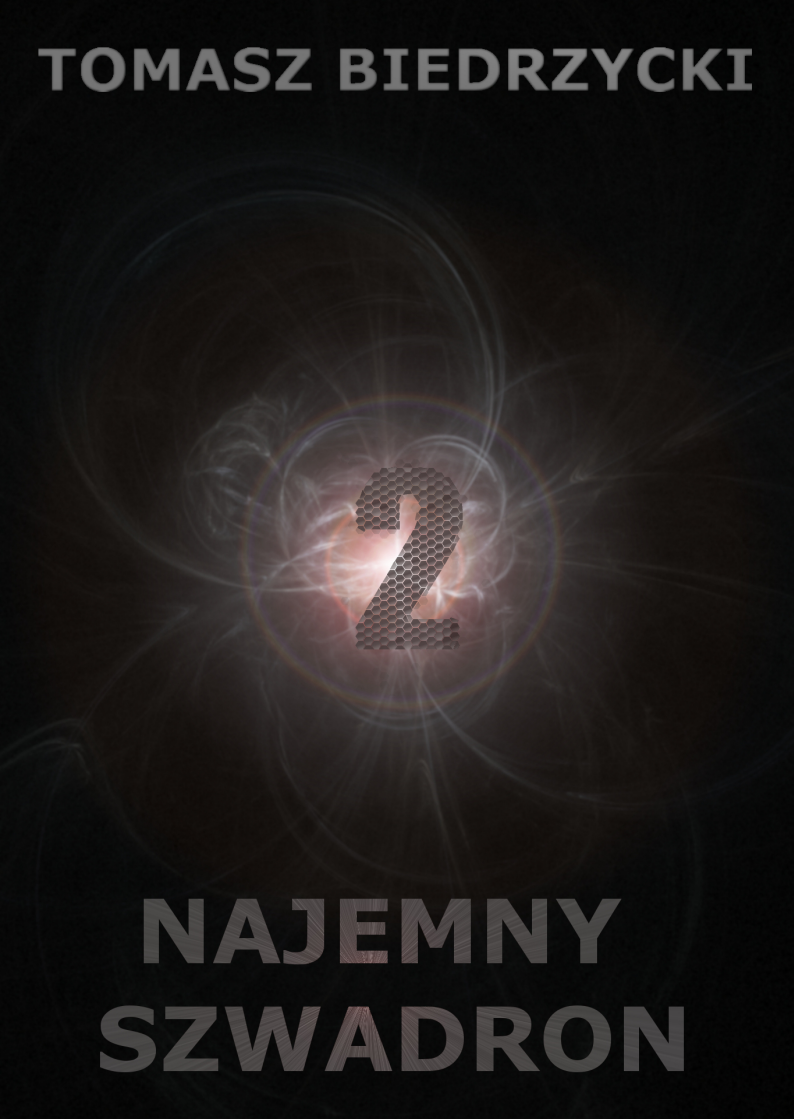

NAJEMNY SZWADRON

TOMASZ BIEDRZYCKI

NAJEMNY SZWADRON 2

NAJEMNY SZWADRON

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2015
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora.
All rights reserved

Okładka
Tomme Vasque

Wydanie I
Jelenia Góra 2013
www.tomaszbiedrzycki.pl
ksiazki@tomaszbiedrzycki.pl

Układ 51 Pegasi.

Światło gwiazdy z trudem docierało w odległe rubieże układu gwiezdnego. Prześlizgiwało się po chmurze niewielkich lodowych igieł krążących chyba od czasów Wielkiego Wybuchu, które zabłysły na chwilę, niczym zimny płomień. Powolny ruch odłamków wokół środka masy został zakłócony. Poszczególne drobiny, pchane niewidzialną siłą, zaczęły się rozpraszać. Bezgłośnie pojawił się między nimi ciemny, potężny kształt statku gwiezdnego, miażdżąc pozostałości wspaniałego widowiska. Odrapany, sterany kadłub masowca zniszczył delikatny układ odłamków lodu. Mknął bez napędu. Powgniatany dziób z widocznymi brakami w poszyciu celował wprost w gwiazdę centralną 51 Pegasi. Gondole silnikowe wydawały się trzymać na „słowo honoru". Intensywna eksploatacja pojazdu odbiła się na jego wyglądzie. Płyty poszycia mieniły się wszystkimi kolorami, jakie była w stanie przyjmować stal konstrukcyjna i stopy tytanu.

Żaden szanujący się inspektor techniczny nie dopuściłby tego wraku do eksploatacji. W jaki sposób masowiec znalazł się w tak odległym skrawku znanej przestrzeni pozostawało absolutną tajemnicą. Dwie spośród pięciu pancernych tafli mostka było zniszczonych. W ich miejscu tkwiły awaryjne blokady z tytanu. Jedną musiał pokiereszować rój mikrometeorytów, bowiem twarde, wielowarstwowe szkło wyglądało niczym powierzchnia księżyca, poznaczone setkami niewielkich kraterów. Jedynie dwa boczne okna pozwalały spoglądać w otaczającą transportowiec przestrzeń.

W jednym z nich pojawiła się samotna postać. W zamyśleniu spoglądała na odległą gwiazdę centralną. Nieogolona twarz z pewnością nie należała do szanowanego kapitana konsorcjum handlowego.

Gdzieś za plecami samotnego mężczyzny dał się słyszeć dźwięk otwieranych drzwi ciśnieniowych. Wysłużone siłowniki z jękiem poruszyły ciężkie tafle metalu.

- Szefie… - ten prześmiewczy ton mógł należeć jedynie do Roberta Grimma. Niski, chudy jak patyk blondyn, starał się ze wszystkich sił zostać pokładowym wesołkiem. Mimo tego, że zamustrował się na pokład jako ostatni, Jean Simon nie uznawał czegoś takiego jak okres przystosowawczy. Powoli, bez mrugnięcia okiem obrócił się w stronę uśmiechniętej, końskiej twarzy Grimma.
- Tak? – Zapytał podejrzanie uprzejmym tonem. Poza nimi, w sterowni było pusto. Na jego wyraźne życzenie pierwszy i drugi sternik opuścili swoje fotele. Wbrew jakimkolwiek procedurom obowiązującym we flocie handlowej. Oddział Simona nigdy jednak do niej nie należał… .
- Hoth polecił panu zameldować, że w drugiej ładowni też mamy już pełną dekompresję… - blondyn zameldował to takim tonem, jak gdyby obwieszczał dawno oczekiwane wejście do portu.
- I to wymaga mojej natychmiastowej reakcji…? – głos dowódcy stał się odrobinę mniej przyjazny. Postąpił kilka kroków w stronę

zadowolonego z siebie posłańca. Zmierzył go spojrzeniem.
- Jak długo jesteś na pokładzie? – Grimm przymknął oczy, starając się jak najszybciej odpowiedzieć na pytanie szefa. Nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Młodzik, przyciągnięty nimbem tajemniczości profesji najemnika.
- Trzy miesiące…- otworzył oczy zadowolony. Uśmiech na jego twarzy znikł, widząc nadlatującą pięść. Precyzyjne uderzenie posłało go z powrotem pod wejście na mostek. Boleśnie uderzył się plecami o gródź ciśnieniową. Zamrugał powiekami, chcąc powstrzymać łzy. Dostrzegł przez nie Simona, przebierającego palcami, poprawiającego bogato zdobioną rękawicę. Ból pulsował w obitej szczęce. Bezwiednie sięgnął dłońmi do twarzy, chcąc ukryć mokre policzki.
- Zapamiętaj mój mały – usłyszał sarkastyczny głos Jeana – jeśli mówię, nie przeszkadzać, to znaczy, nie przeszkadzać. Chyba, że właśnie urwało naszej awionetce d…pę i dalszą część podróży musimy odbyć na piechotę.

Odwrócił się, litościwie pomijając milczeniem reakcję dwudziestolatka na cios.
- Zjeżdżaj stąd… - mruknął Simon półgębkiem, kierując się z powrotem w stronę pancernego okna. Pobity czekał jeszcze przez chwilę, ale dowódca nie odezwał się, patrząc przez okno w pustkę kosmiczną. Powoli pozbierał się z podłogi i trzymając się za szczękę prawą dłonią, opuścił sterownię. Patrzył przez chwilę na sylwetkę szefa, niknącą na tle ciemnej przestrzeni. Nacisnął przycisk zamykający ciśnieniową gródź. Odwrócił się gwałtownie, gdy z tunelu technicznego wytoczyła się czwórka najemników oraz szef siłowni frachtowca. Wśród nich natychmiast rozpoznał sylwetkę Heinza Hotha. Tego samego, który go przed chwilą wysłał z informacją. Okrągła, zarośnięta twarz idącego obok głównego mechanika rozjaśnił szczery uśmiech.
- I jak Simon przyjął twój pierwszy raport? – Na to pytanie, stojąca obok czarnowłosa, skośnooka dziewczyna ryknęła śmiechem. Wtórowała im pozostała dwójka.

- Wybacz – Hoth otarł łzy z kącików oczu i przygarnął zdezorientowanego Grimma potężnym ramieniem, nie dając szansy na ucieczkę.
- Weź za dobrą monetę to, że nie kazaliśmy ci czyścić kibli, albo kanałów paliwowych… - obrócił się wraz z Grimmem i drugą dłonią klepnął dziewczynę w krągły tyłek. Ta, niemal odruchowo, zamachnęła się, trafiając otwartą dłonią w zarośnięty policzek Heinza. Zabrzmiało to jak uderzenie siekiery w dębowy pień. Olbrzym zareagował drugą salwą śmiechu.
- Nie myślałeś chyba, że wkupisz się w łaski kamratów bez chrztu bojowego – teraz dopiero dwudziestolatek zrozumiał nerwową reakcję dowódcy. Uśmiechnął się nieśmiało, starając się nadrabiać miną.
- Niestety młody, beczałeś – mruknęła kobieta, dotykając palcem jego policzka. Przez ciało chłopaka przeszedł dreszcz podniecenia. Ta dziewczyna podobała mu się od chwili wejścia na pokład. Jej dotyk elektryzował. Bezbłędnie odczytała jego reakcje. Rozszerzone źrenice, gęsia skórka na rękach. Zresztą, nie tylko ona… .

- Wang, nasz młody kogut chyba się w tobie zakochał… - zarechotał Heinz, puszczając swoją ofiarę z morderczego uścisku. Brunetka odwróciła się, zła jak osa.
- Jaaasne – przeciągle spojrzała na olbrzyma, któremu w jednej chwili skończył się zapas żartów. Oparła dłoń na biodrze i wysunęła naprzód jedną ze smukłych nóg, doskonale widocznych poprzez ciasno dopasowane spodnie szturmowe.
- Możesz popatrzeć. Inne pomysły utnę przy samej szyi… - odwróciła się, świadoma, że mężczyźni taksują ją wzrokiem. Krok za krokiem, kołysząc biodrami, skryła się w przedziale nawigacyjnym.
- Uwierz mi młody – westchnął jeden z towarzyszy Heinza – zrobi to bez znieczulenia. Myślisz, że ty pierwszy o tym pomyślałeś…?
- Dość tego – huknął Hoth. Rozsunął dłonie, popychając pozostałych w stronę stołówki.
- Bab nie ma, ale wóda jest. Na wszystko przyjdzie czas – potężna postura nie zachęcała do protestów. Nikt się nie przeciwstawił, grupa ochoczo wkroczyła do wąskiego, odrapanego

pomieszczenia, pełniącego rolę stołówki, baru, a czasami sypialni dla załogi transportowca – widmo. Teraz było tu zaledwie kilka osób, bowiem większość odsypiała manewr hamowania po opuszczeniu tunelu via Alfa Centauri.

- Przeżył chrzest! – Wydarł się Heinz, stojąc w wejściu. Wysoko potrząsnął szczupłą dłonią chłopaka, niemal podnosząc go do góry. Odpowiedziały mu brudne, podniesione kciuki kilku zabijaków siedzących przy kontuarze. Samotny Umbrianin[1], cierpliwie pykający podłużną, wodną fajkę, wydmuchał w ich stronę idealnie okrągłe kółko. Jednobarwne oczy obcego skierowały się w górę. Po ostatnim machu odleciał.

- No takich honorów, to nawet mi nie oddał – Hoth usadowił się przy okrągłym, plastikowym stoliku i z rozmachem postawił staromodną, szklaną butelkę, którą dał mu barman. Na blacie natychmiast pojawiły się składane kubki.

---

[1] Umbrianie – wygnańcy obcej rasy Geminosów zamieszkująca układ planetarny jednej z gwiazd w układzie Altaira

- Za zespół! – Huknął olbrzym. Zawtórowały mu okrzyki pozostałych.
- Kolejka za Simona! – Zawtórował mu dziobaty oprych siedzący przy kontuarze. Zebrani w stołówce ochoczo podnieśli toast. Rozkręcającą się imprezę przerwała postawna sylwetka zastępcy dowódcy, wkraczająca bocznym wejściem. Wszyscy umilkli jak jeden mąż. Grimm, pomny niedawnej nauczki, również milczał.
- Heinz, gdzie szef? – Zapytał krótko, podchodząc do barmana, odbierając srebrzysty pojemnik. Hoth przełknął alkohol do końca i odetchnął. Spokojnie, jak gdyby bał się urazić przełożonego, odpowiedział.
- Jest na mostku, ale… - przerwał, widząc jak zastępca obraca się na pięcie. Chłodne, szare oczy otaksowały okrągłą twarz Heinza. Nic nie odpowiedział, więc olbrzym, ośmielony, mówił dalej.
- …kazał sobie nie przeszkadzać… - wyglądało na to, jak gdyby chciał jeszcze coś dodać, ale nic nie powiedział. Wyrwał się za to Grimm, starając się ze wszystkich sił, by okazać się przydatny.

- To prawda panie Greystone, sam przed chwilą stamtąd wyszedłem… - dostrzegłszy w oczach zastępcy lód, umilkł, podświadomie kuląc się w oczekiwaniu na cios. Ku zdumieniu całego otoczenia, beznamiętną twarz Marka Greystone'a rozjaśnił krótki, zdawkowy uśmiech. Dostrzegł zaczerwieniony policzek młodziana i mruknął pod nosem.
- Widzę…Hoth cię ochrzcił… - spokojnym, równym krokiem opuścił stołówkę. Gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, wewnątrz ponownie rozbrzmiały okrzyki. Mark pokręcił głową z ironicznym uśmiechem. Nie spotykając nikogo po drodze, dotarł do ciśnieniowych drzwi sterowni. Nie wahał się ani chwili. Otworzył je i wkroczył do ciemnego wnętrza, rozjaśnianego przez dziesiątki kontrolek na pulpitach sterowniczych. Nie czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku, ruszył naprzód.
- Jeśli to znowu ty Grimm, uwierz mi, że najbliższy żołd wydasz na nowe zęby – zimny ton Simona przyprawiłby o niepokój nawet potężnego Heinza. Na zastępcy nie zrobiło to najmniejszego znaczenia. Krok za krokiem

obszedł stanowiska sterników. Dopiero teraz Jean dostrzegł sylwetkę przybysza. Uśmiechnął się zdawkowo, zadając pytanie zupełnie innym tonem.

- Przyniosłeś mi jakieś przemyślenia? Do świątyni dumania? – słysząc prześmiewcze pytania, Mark skinął lekko głową, spoglądając przez chwilę na gwiazdę centralną układu, oddaloną o kilkadziesiąt jednostek astronomicznych.

- Istotnie – rzucił w zamyśleniu – zastanawiam się, czym sobie zasłużyliśmy na tą wycieczkę – wskazał głową na odległą 51Pegasi.

- Słyszałem, że widok Belerofonta[2], gubiącego atmosferę na rzecz gwiazdy, potrafi zbić z nóg. – Wzruszył ramionami i dodał z przekąsem, spoglądając przez ramię na Simona.

- Założę się, że większość naszych ludzi nie poświęciłaby tym widokom nawet pięciu sekund, mając do wyboru kobietę, albo wódę czy prochy… .

---

[2] Bellerofont – pierwsza znana planeta pozasłoneczna krążąca wokół gwiazdy klasy Słońce. Tzw. „gorący Jowisz” krążący niespełna 0,05 j.a od gwiazdy.

- Istotnie – Jean obrócił się przodem do swego rozmówcy i założył ręce na brzuchu. Obrzucił swego zastępcę uważnym spojrzeniem.
- Bez problemu mógłbyś prowadzić swój własny oddział. Czemu z nami jesteś? – Na twarzy dowódcy oddziału nie drgnął ani jeden mięsień. Greystone nie odpowiedział od razu. Oparł się o konsolę pierwszego sternika i rozmarzonym wzrokiem spojrzał wprost w pustkę.
- Pytasz, dlaczego nie zrezygnowałem z lotu naszą kupą złomu? Dlaczego godzę się na piątą część zysku? – Westchnął cicho i odpowiedział z ironią.
- Żeby nie wyglądać tak jak ty. Nie musieć użerać się z pyskatym zastępcą, naćpanym bosmanem i bandą alkoholików. – Twarz mówiącego spoważniała, gdy dodał znacznie ciszej.
- Ja też kiedyś muszę spać. Znacznie lepiej robi się to wiedząc, że nikt ci nie poderżnie gardła…. – zawahał się, chyba po raz pierwszy od kiedy się poznali.
- Za długo jestem w tym biznesie, by marzyć o karierze samotnego wilka… - oparł dłoń na brodzie i mruknął.

- Przyjemnie gaworzyć o wszystkim i niczym… – starał się szyderstwem przykryć poprzednie wyznanie.
- …ale tak naprawdę, to chciałbym wiedzieć, co tu robimy. Po tym, jak Barad zakończył przedwcześnie nasz kontrakt, spodziewałem się jakiegoś szybkiego zlecenia na odkucie się, a nie zakupu tego wraku za oszczędności szefa… . – na dźwięk tych słów Simon parsknął z pogardą.
- Nie myśl sobie, że nie odbiorę tej kasy z następnego kontraktu – słysząc te słowa, Mark pokiwał głową z udawanym utrapieniem. Nie zdążył dodać kąśliwego komentarza, gdy dowódca kohorty wskazał dłonią na odległą gwiazdę.
- Kontrakt jest tam… ale potrzebuję jeszcze czasu na zastanowienie się, czy pchamy się w bagno… - milczał dłuższą chwilę, ważąc słowa. Zużyte wentylatory hałasowały nad głowami rozmawiających.
- Jak stawka jest dobra, to nikt na pokładzie nawet się nie zająknie... - Mark oparł dłoń na pancernej szybie. Wyczuł przyjemny chłód. Od

kosmicznej pustki oddzielały go trzy warstwy specjalnego szkła i dwie strefy neutralnego gazu.
- Niemniej jednak – ciągnął dalej - z czysto akademickiego punktu widzenia, ciekaw jestem, czym śmierdzi ten kontrakt... .
- Polityką – na dźwięk słów dowódcy, Mark skrzywił się niemiłosiernie. Wzruszył ramionami i z udawanym strapieniem mruknął.
- Wszystkiego bym się po tobie spodziewał. Nawet przemytu... - obrócił się przodem do Simona -... ale, czy naprawdę tak nas przycisnęło? Nie mamy zaskórniaków na koncie? - w odpowiedzi Mark ujrzał przeczący ruch głowy.
- W takim razie, wal prosto z mostu, jak jest... - razem podeszli do stołu nawigacyjnego. Simon przez chwilę nim manipulował. Na trójwymiarowym ekranie pojawiła się twarz młodego mężczyzny.
- Nasz cel? -zapytał domyślnie Greystone. W pamięci szybko rejestrował cechy charakterystyczne. Drobną bliznę na brodzie, szeroko rozstawione oczy, wąski nos.

- Syn senatora Borganda – potwierdził Simon, wpisując na klawiaturze kolejne komendy. W miejscu twarzy syna senatora, zaczęły pojawiać się schematy budynków.
- Oficjalnie, został porwany, my mamy go odzyskać... - słysząc krótkie wyjaśnienie, Mark pokiwał głową z uznaniem, siadając na fotelu pierwszego sternika. Założył nogi na pulpit sterowniczy i popatrzył na Simona, uśmiechając się.
- Nie jest najgorzej. Co prawda tatusiek może nam nie zapłacić, ale zawsze możemy powiedzieć, że synalek pomylił się i zamiast do kibla, trafił do śluzy powietrznej... - zachichotał ze swojego żartu.
- Normalnie przyznałbym ci rację – Simon powiększył jeden ze schematów – ale w rzeczywistości, nie chodzi o zwykły kidnaping. Nasz cel siedzi w tajnym, rządowym ośrodku... .

Orbita geostacjonarna planety Lilith, dwie jednostki astronomiczne od 51 Pegasi.

Brunatna powierzchnia planety, poprzetykana gdzieniegdzie białymi pasmami śniegu, nie prezentowała się atrakcyjnie. Gdyby nie fakt, że posiadała atmosferę bogatą w tlen, nikt przy zdrowych zmysłach nie rozwijałby tu cywilizacji.

Simon, stojący przy oknie mostka kapitańskiego z uwagą wpatrywał się w odległy punkt ponad krzywizną planety. Zbliżał się z każdą chwilą.

- Mam wywołanie... – zameldował astronawigator. Zawahał się przez moment i dodał -...żądanie podania kodów rozpoznawczych...

- Tu masz – Simon podał mężczyźnie kość pamięci. Ten w mgnieniu oka zainstalował ją i rzucił do mikrofonu łączności bliskiego zasięgu.

- Podaję kod identyfikacji... - urządzenia łączności na otwartym kanale przesyłały oficjalne informacje na temat frachtowca. Kosztowały

niemal tyle samo, co zamustrowanie niezbędnych specjalistów. Mimo to, Simon raz po raz zerkał na swego zastępcę siedzącego za sternikami. To był jedyny spokojny człowiek na pokładzie. Wydawał się drzemać. Jean z satysfakcją zauważył, że spod uchylonych powiek, czujnym wzrokiem obrzucił sterownię.
„Nawet Greystone czasem się boi” - na tę myśl nabrał animuszu. Odległy punkt powoli zmaterializował się w formie starej stacji kosmicznej. Decydentom szkoda było funduszy na prawdziwy obiekt tego typu. W zamian za to, przyholowano tu kadłub starego liniowca, pozbawionego napędu, naprędce dostosowanego do pełnienia obecnej funkcji.
- Nie ma to jak prawdziwa cywilizacja – rzucił z przekąsem, obserwując powgniatane poszycie improwizowanej stacji. Na całej długości starego, mierzącego ponad trzy kilometry kadłuba, widać było ślady dziesiątek napraw. Nawet teraz można było dostrzec osiem potężnych skafandrów inżynierskich spawających coś przy wieżyczce kontroli lotów. Dwie galerie obserwacyjne ziały pustką, podobnie jak część portowa. Dwa statki

handlowe, równie zdezelowane jak ich własny, jeden wahadłowiec orbitalny w barwach linii pasażerskiej i to było wszystko.
- Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem – dobiegło od strony fotela Greystone'a. Wszyscy zgromadzeni w sterowni, jak jeden mąż spojrzeli na mówiącego.
- Będziemy rzucać się w oczy... - Simon otworzył usta, by skontrować wypowiedź Marka, ale wydawało się, że zastępca zdążył już zasnąć. Zamiast tego, dalej obserwował stację kosmiczną. Nad jednym z portów cumowniczych zabłysł optyczny sygnał naprowadzający.
Sternik zareagował natychmiast, ale frachtowiec zareagował ospale, jak gdyby miał pełne ładownie.
- Podchodzimy na czwórkę – rzucił z minimalnym opóźnieniem astronawigator, słuchając bezpośredniego przekazu z wieży kontroli lotów.
Nieliczna, sześcioosobowa załoga sprawnie wyhamowała ogromną, bezwładną masę statku. Jean Simon oderwał wreszcie wzrok od

pokiereszowanego kadłuba stacji. Krok za krokiem podszedł do swego zastępcy.
- Jak sądzisz... - odezwał się naraz Greystone, nie otwierając oczu – długo będą nas prześwietlać?
Jean uśmiechnął się pod nosem. Zorientował się, że Mark nie mógł dostrzec tego gestu i mruknął.
- Taa, celnicy z pewnością już zacierają ręce. Co my moglibyśmy tu przemycać? - Zadał sobie pytanie ironicznym głosem i zaraz sam na nie odpowiedział.
- Chyba tylko baby dla miejscowych... .
- Istotnie – podchwycił zastępca, powoli otwierając oczy – ja jednak skłonny byłbym polecieć na wycieczkę, obejrzeć Bellerofonta...
- Idziemy… - mruknął pod nosem Jean, uśmiechając się krzywo.
*
Stary, sterany frachtowiec ostrożnie zetknął się z węzłem cumowniczym. Dłuższą chwilę bokami uciekała atmosfera, zanim przejście załogowe osiągnęło wymagany poziom szczelności.
Osiem osób, stojących za grubą płytą śluzy sceptycznie spoglądało na smugi powietrza mknące wzdłuż pokiereszowanych ścian tunelu.

Nawet po otwarciu przegrody, żaden z zabijaków Simona nie miał ochoty pierwszy wkraczać do przejścia liczącego niemal dwadzieścia metrów. Mark, stojący wśród najemników, nie rozglądając się na boki, ruszył naprzód.
- Widzisz grubasie... - dosłyszał cichy szept Wang, skierowany do Hoth'a – tak to się robi! - Drobna Azjatka podążyła za zastępcą dowódcy.
- Taa, jasne – olbrzym dbał o dyskrecję znacznie mniej – spacer bez skafandra w tej kiszce, to głupi pomysł... . - Owiał ich chłód kosmicznej przestrzeni. Mimo kurtyn i gorących strumieni powietrza po obu stronach, temperatura przy ścianach zdezelowanego przejścia schodziła grubo poniżej osiemdziesięciu stopni.
Hothowi cierpła skóra na myśl, co się stanie, jeśli jakiekolwiek urządzenie odmówi posłuszeństwa. Rozpędził się, by jak najszybciej przebyć niebezpieczny odcinek. W ostatniej chwili wyhamował, by nie wpaść na plecy Jeana Simona, witającego się z czteroosobową grupą celników.
- ...nic do oclenia. Przybyliśmy tu na pusto... - znudzone, zniechęcone, szare twarze celników,

wyraźnie świadczyły o ich podejściu do pracy. Na takie placówki Pakt Słoneczny zsyłał niechcianych obiboków i bumelantów. Nawet jeśli popełniali błędy, to w niczym nie szkodziło. Tak wyglądali w istocie, ale Greystone, stojący u boku szefa, miał z tyłu głowy myśl o sekretnej kolonii na powierzchni planety. Jeśli była to jedyna stacja satelitarna, to z pewnością rządowe agencje zostawiły tu kogoś więcej, niż ludzi marzących o wczesnej emeryturze. Spod przymrużonych oczu uważnie obserwował powitanie.

- Zgodnie z kodeksem służby celnej... - jeden z celników, bezbarwnym głosem wyrecytował formułkę prawną, przewidzianą w takich okolicznościach. Simon skinął potakująco głową. W sumie, nawet współczuł tym ludziom. Nie mieli szans odkryć czegokolwiek, a ryzyko utraty życia, przeszukując taki wrak, było jak najbardziej realne.

Czwórka urzędników karnie pomaszerowała do wnętrza frachtowca, odprowadzana wzrokiem przybocznych Simona. Odprawę, zgodnie z przepisami, miała przeprowadzić nominalna

załoga statku, wynajęta zaraz po zakupie frachtowca.
Dopiero gdy ciśnieniowe drzwi węzła zamknęły się, ruszyli naprzód. Wnętrze stacji wydawało się być jeszcze bardziej wyeksploatowane, niż ich własnych statek. Zrezygnowany Hoth podsumował to już po kilku minutach.
- To jest ta pie...przona cywilizacja? Szefie? - Z rozpaczą w małych oczkach zwrócił się do Simona. Nie zwalniając kroku, skręcili na wąskim skrzyżowaniu.
- Wyrażaj się... - mruknął chłodno Jean, raz po raz spoglądając na mapę, którą otrzymał od celników. Starał się zorientować w oznaczeniach. Niemal podskoczył, gdy nad uchem usłyszał głos niepoprawnej Wang.
- To wygląda jak schematy elektryczne tych zboczeńców z maszynowni... -
- Następna – żachnął się przywódca – jak dotrzeć... - przerwał, gdyż z oddali dobiegły ich echa odległej muzyki. Nic bardziej znanego, ale to wystarczyło. Nim Greystone czy Simon zdołali otworzyć usta, pozostała szóstka, niczym stado bizonów, ruszyło z tumultem naprzód.

- Dzieci... - Simon pokręcił głową, nie zmieniając tempa marszu.
- Gnojki jakich mało... - potwierdził Mark. Zatopieni w cichej dyskusji, ruszyli za swymi ludźmi...

Stacja orbitalna HSOS, orbita geostacjonarna planety Lilith

Galeria obserwacyjna dostarczała imponującego widoku leżącej poniżej planety. Doskonale widoczne były jej rozległe płaskie powierzchnie. Lilith, mająca niecałe dziesięć tysięcy kilometrów średnicy, dostarczała atmosfery nieco rzadszej, ale w pełni zdatnej do oddychania. Wyłącznie dlatego Federacja Terry objęła w posiadanie cały układ. Planeta, znacznie starsza od Ziemi, nie miała do zaoferowania takich widoków jak macierzysty świat człowieka. Mniejsza aktywność wulkaniczna nie zdołała spiętrzyć wysokich masywów górskich, a niewielki ruch płyt tektonicznych sprawił, że planeta posiadała jeden potężny kontynent, dwie niewielkie czapy lodowe i wszechocean zajmujący niemal sześćdziesiąt procent powierzchni.
Stojący na pasażu Greystone, przywoływał sobie w myślach te dane. Przed pobytem w

jakimkolwiek miejscu, starał się zdobyć maksimum informacji na jego temat. „Największe we wszechświecie prerie”. To zdanie utkwiło mu w głowie. To co widział przez szerokie, pancerne okna galerii, w pełni potwierdzały słowa jakiegoś planetologa.
- Idealna strzelnica – mruknął pod nosem. Przyszło mu na myśl, że w materiałach, do których dotarł, nie było nic na temat fauny.
Kątem oka dostrzegł niską postać od strony portów cumowniczych. Nadchodziła bezszelestnie, środkiem miękkiej, wytartej ścieżki. Nie zmieniając na jotę obojętnej miny, obrócił się przodem w stronę przybysza. W jego oczach dostrzegł rządzę zysku. Szara, pociągła twarz mężczyzny nie wzbudzała zaufania, podobnie jak cichy, drżący głos.
- To ty chcesz sobie zrobić wycieczkę na powierzchnię? - Mark uniósł w górę oczy, ale w porę opanował się, by nie rzucić jakiejś ironicznej uwagi.
- W przeciwnym razie, nie szukałbym kogoś twego pokroju – mruknął, starając się ze wszystkich sił, by nie zabrzmiało to obraźliwie.

W odpowiedzi tamten zatarł ręce, jak gdyby spodziewał się niebotycznych zysków.
- Ile osób? - Zapytał krótko
- Cztery – odpowiedział zwięźle Greystone. Z drugiej strony galerii pojawiły się trzy sylwetki w mundurach służby porządkowej. Rozmawiający, jak na komendę obrócili się w stronę szyb, obserwując powierzchnię planety.
- Marzy nam się małe, kosmiczne safari – kontynuował Mark. Trzech facetów, jedna babka, cztery karabiny i trochę amunicji... - umilkł, słysząc rozmowy strażników. Ci przeszli, nie zwracając uwagi na obserwatorów powierzchni planety.
- hehe – zachichotał rozmówca Greystone'a. Spojrzał koso na odchodzących mundurowych i mruknął półgębkiem.
- Kolekcjonerzy, co?
- Umówmy się, że zbieramy trofea z wielu okolic... - dla większego efektu, Greystone zawiesił głos - …a nasz szefowa jest naprawdę hojna... .
Przemytnik nie panując nad sobą, uderzył otwartą dłonią w kolano. Nie zwracając uwagi na suche

klaśnięcie, które rozległo się na całym pasażu, rzucił rozradowany.
- Wiedziałem. Kamraci nie chcieli mi wierzyć, gdy mówiłem, że tym starym klekotem przyleciał bogaty bubek.- Mrugnął okiem, jakby Mark był jego najlepszym kumplem.
- Zasadzaliśmy się już na was... .
- Niepotrzebnie – chłodno odpowiedział Greystone. Mierzyli się przez chwilę spojrzeniem. Przemytnik na moment pobladł. Chrząknął, kolory wróciły na jego wąskie policzki.
- Po dziesięć tysięcy od głowy – rzucił znacznie mniej wesołym tonem. Z racji swego „zawodu" dobrze znał się na ludziach. To co wyczytał w zimnych oczach zastępcy Simona zaniepokoiło go nie na żarty.
- Po dwanaście, za dwa tygodnie pobytu na powierzchni – wszedł mu w słowo Mark. Przemytnik wzruszył ramionami, starając się przywołać na swoją twarz rodzaj krzywego uśmiechu.
- Klient nasz pan... - zlustrował wzrokiem swego rozmówcę i rzucił.

- Jutro przy doku planetarnym, o dziesiątej rano czasu pokładowego. Płatne z góry... - zlustrował z napięciem swego rozmówcę, ale ten bez sprzeciwu skinął głową.
- W takim razie, do zobaczenia jutro, łowco... - rzucił z przekąsem niski mężczyzna. Nie było żadnego pieczętowania umowy uściskiem dłoni. Odwrócił się i odszedł, odprowadzany bezwzględnym spojrzeniem Marka. Do rozszyfrował tego lokalnego rzezimieszka wystarczyło mu kilka minut rozmowy. Z pewnością nie zrezygnował z łatwego celu. Płacąc niemal pięćdziesiąt tysięcy Solaris odraczali w czasie nieuchronne starcie.
Greystone uśmiechnął się sam do siebie, ruszając w stronę galerii przylotów międzyplanetarnych.
- Gdzie ta policja, gdy jej potrzebujemy...? - Mruknął sam do siebie, opuszczając pasaż obserwacyjny.

Wahadłowiec transportowy „C-15”, orbita Lilith.

Starym, wysłużonym kadłubem niemiłosiernie trzęsło. Pierwsze wstęgi rzadkiej atmosfery planety hamowały lot pojazdu. W obszernej ładowni, tuż przy wejściu do kabiny pilotów, na wąskim, niewygodnym siedzisku, rozłożył się Greystone. Od samego wejścia na pokład był znudzony. Turbulencje zdawały się na niego nie działać. Przymknięte oczy sprawiały wrażenie, że śpi. Wang, siedząca po drugiej stronie krzywiła się niepomiernie. Złośliwie wykrzywiona twarz kobiety, raz po raz miotała przekleństwa. W drobnych dłoniach tkwił papierowy worek. Niemal w połowie pełny. Jej głos zagłuszał rosnący szum powietrza za burtą. Pozostali dwaj, przypięci pasami do kontenera transportowego doskonale się bawili wściekłością drobnej Azjatki.

Nagle cała trójka otworzyła szeroko oczy. Nawet Mark poruszył się, czując rosnącą grawitację. Pilot wahadłowca z pewnością nie latał w liniach

pasażerskich. Zachowywał się tak, jakby w ładowni miał jedynie towarowe kontenery. Przeciążenie osiągnęło pięć g, ścierając z twarzy wesołków uśmiechy, uciszając jednocześnie jazgoczącą Wang. Za wąskimi oknami pojawił się płomień. Bez finezji, za to z rutyną, wahadłowiec wykonał dwa obszerne zwroty, wytracając prędkość do wartości poddźwiękowych. Dopiero wtedy uruchomił hybrydowe silniki. Raz po raz wypluwały z siebie strugę ognia, gdy załoga usiłowała zmusić obie gondole do pracy w trybie odrzutowym. Dopiero po kilku minutach rozległ się ryk turbin. Nieprzyjemne szarpnięcie pasażerami było niczym, przy atrakcjach podczas schodzenia z orbity. Jedynym efektem była malownicza plama u stóp Wang, bowiem dziewczynie nie udało utrzymać się worka z wymiocinami.

- Bądź grzeczna i nie brudź w tak wytwornym wnętrzu – rzucił jeden z wesołków, wysoki, chudy jak patyk blondyn o przerzedzonej blond czuprynie. Nim Wang zdołała odpowiedzieć kąśliwą uwagą, usłyszeli szczęk włazu oddzielającego ich od kokpitu. W otworze

pojawiła się rozradowana twarz przemytnika, z którym Greystone negocjował warunki lotu na powierzchnię.
- I jak wam się podoba wycieczka? - zapytał, przekrzykując huk silnika – takich atrakcji nie znajdziecie w lunaparku... . - Zamilkł, widząc wściekłą Azjatkę. Spoglądała na przemytnika wzrokiem obiecującym szybkie morderstwo. Jak gdyby odpowiadał za jej problemy żołądkowe.
- Znakomicie – westchnął Greystone, budząc się ze swej drzemki. Zmrużył oczy, zerkając najpierw na Wang, potem na rzezimieszka.
- Nasza szanowna pani z pewnością nie może się doczekać lądowania... - znacząco kiwnął w stronę dziewczyny. Przemytnik pojął jego intencje w lot. Jeszcze nie oswoił się z myślą, że kurą, znoszącą złote jaja, okazała się kobieta, ale potrafił szybko reagować.
- Oczywiście proszę pani... - zwrócił głowę w stronę kokpitu i wykrzyknął kilka słów w nieznanym najemnikom języku. Nie dosłyszeli odpowiedzi, ale przemytnik odwrócił się z uśmiechem.

- Najwyżej kwadrans... Powoli możecie się szykować do odpinania pasów... - skłonił głowę ku Azjatce. Ta, z miną oznaczającą wielkie niezadowolenie, prychnęła, unosząc nos do góry.
Właz trzasnął ponownie.
Mark po raz pierwszy od rozpoczęcia lotu uśmiechnął się pod nosem. Pomysł, by to Wang uczynić „bizneswomen” wyszedł od Hoth'a, jako żart. Simon zaakceptował go niemal od razu. To pasowało do legendy, jaką jego zastępca opowiedział przemytnikom. Bogata ekscentryczka, z kilkoma ochroniarzami, chcąca się brzydko zabawić na powierzchni planety. Jakiż łatwy cel dla lokalnych rzezimieszków... .
Dźwięk silników wahadłowca zmienił swój ton, co oderwało Greystone'a od rozmyślań. Wychylił się w niewygodnej pozycji, starając się spojrzeć przez wąskie okno ciśnieniowe na zewnątrz. Przemykali tuż nad szerokimi łanami wysokich traw, nie tkniętych ludzką stopą. Wydawało mu się, że dostrzegł w oddali ruch, ale nie zdołał zobaczyć nic więcej. Wahadłowcem zatrzęsło, po czym pojazd wykonał szeroki zakręt. Spod gondol silnikowych wysunęły się szerokie płozy

postojowe. Spaliny odrzutowe wypaliły dwa okrągłe, czarne ślady w roślinności, gdy pojazd ostrożnie osiadł na powierzchni. Ryk silników natychmiast przycichł. Pilot musiał je wyłączyć od razu.
- Nie ma to jak ekologia... - widząc przemytnika, swobodnie przeciskającego się przez właz do ładowni, czwórka pasażerów odpięła pasy.
- Ja tego nie będę sprzątać – Wang z wyniosłą miną przekroczyła rozległą plamę własnych wymiocin, kierując się w stronę rufowej rampy. Przemytnik odprowadził ją wzrokiem, po czym po przyjacielsku szturchnął Greystone'a łokciem w bok.
- Ależ jędza, nie myślałeś nigdy o zmianie pracy?
- Łakomie pochłaniał oczami ponętne kształty dziewczyny. Nie dostrzegł lodowatego spojrzenia Marka.
- Od zawsze – mruknął z ironią. Pochwalił w myślach diabelską, kobiecą przewrotność Sue. Doskonale zdawała sobie sprawę z hipnotycznego efektu, jaki wywierała na większość męskiej populacji. Teraz wzmocniła dodatkowo to działanie kombinezonem myśliwskim, doskonale

przylegającym do jej smukłego ciała. Przemytnik od pierwszej chwili nie potrafił oderwać od niej oczu. Jeśli nawet miał niecne zamiary, to nie mógł się w całości skupić na ich zrealizowaniu.
- Otwieramy – rzucił przed siebie przemytnik. Rampa natychmiast zaczęła zjeżdżać w dół. To obudziło czujność Marka. Nie docenił rzezimieszka. Z pewnością miał łączność poprzez interfejs cybernetyczny z pilotem. Zaklął w myślach. Teraz przyszło mu do głowy, że rzezimieszek mógł się też maskować swym lichym wyglądem i zachowaniem. Na zmianę planu było jednak za późno. Poczuł pierwszy powiew chłodnego powietrza i nieznany zapach innej planety. Zaraz wdarła się też woń spalenizny i ostrej, nieprzyjemnej woni
- Spokojnie – przemytnik mrugnął porozumiewawczo i dodał, jak gdyby czytał w myślach Greystone'a.
- To śmierdzi ta cholerna trawa, jak się ją podpali. Zaraz przygaśnie i smród przewieje. - Spojrzał na pozostałych dwóch najemników.
- Do was panowie, należy rozładunek kontenera. My zrobiliśmy swoje – uśmiechnął się krzywo,

poklepując falistą ścianę. Jakiś zgrzyt na grzbiecie kadłuba sprawił, że trójka najemników uniosła głowy do góry. Jedynie Mark spokojnie obserwował ich przewodnika. Ten, widząc, że hałas obudził niepokój uczestników wycieczki, pośpieszył z wyjaśnieniem.
- Bez nerwów, kolega przykrywa naszego orła siatką maskującą. Nie chcemy chyba, żeby wycieczkę przedwcześnie zakończyła służba porządkowa.
- Istotnie – skwapliwe przytaknął Greystone, udając, że bierze wyjaśnienia przemytnika za dobrą monetę. Pozłościł się trochę na pokaz, poganiając obu podkomendnych, gdy przy pomocy niewielkiego elektrycznego wózka wyciągali kontener na zewnątrz. Wang, zgodnie z przyjętą przez siebie rolą, wyskoczyła z rampy wprost w trawę. Stanęła bokiem i wciągnęła głęboko powietrze, eksponując swoje walory na wysokości klatki piersiowej. Chwilę później wykonała kilka skłonów.
Przemytnik stał, rozdziawiwszy szeroko usta. Najemnicy ciągnący kontener, również zagapili się na dziewczynę i zjechali z rozpędem na

miękki grunt. Ładunkiem zarzuciło ze zgrzytem katowanej stali.
- Teraz już wiesz, czemu nie rzucam tej roboty – mruknął z przekąsem Mark i podążył za swymi ludźmi. Przemytnik pogapił się jeszcze na Wang, póki ta nie zlitowała się nad nim i nie otworzyła kontenera, niknąc mu z oczu. Dopiero wtedy przepadł gdzieś w kokpicie, pozostawiając najemników samych.
Mark odpiął zasobniki z bronią myśliwską, przypięte pod kontenerem. Z wprawą przystąpił do składania zdekompletowanych karabinów. Sue sprawnie uruchamiała instalacje ich tymczasowego schronienia.
- Mówcie, co chcecie – mruczał blondyn, pracowicie spinając złączki mocy – nie podoba mi się morda tego typa. Założę się o własne jajca, że zrobi nam niejedną niespodziankę... . Sapnął, dociskając szerokie kołnierze głównego kabla.
- Powiedział to „Fakir” - szyderczo odparła Wang, kalibrując sprzęt łączności. Na chwilę oderwała się od pracy i krytycznym okiem oceniła rysy twarzy kolegi.
- Facjaty to ty nigdy nie miałeś wyjściowej....

- Ale nie straszyłem – odparował „Fakir” cofając się na kolanach zza wąskich szaf przyrządowych.
- Tu chodzi o to, że świniakowi za bardzo się błyszczą oczka na nasz sprzęt... . - Sue nabrała usta, by rzucić coś ironicznego, ale nic nie odpowiedziała, bowiem w pomieszczeniu pojawił się Greystone. W rękach trzymał dwa klasyczne karabiny myśliwskie. Napędzane nabojem prochowym. W łusce... . Tylko Sue strzelała wcześniej z czegoś takiego.
- Szefie, a czemu nie z muszkietem...? - Zapytał „Fakir” wykrzywiając swoje paskudne oblicze.
- Jakbyśmy przyjechali polować na mamuty... - zamilkł, widząc burzę gradową w oczach przełożonego.
- Czy ty aby nie chcesz uczestniczyć w wieloletnim kursie przetrwania na Lilith? - chłodny, beznamiętny głos zastępcy dowódcy sprawił, że cała trójka natychmiast wróciła do pionu.
- Kontener działa. Mamy łączność, jak tylko stacja pojawi się ponad horyzontem, drony gotowe do startu – zameldowała Wang.

- Dobrze – skinął głową Mark, wyciągając zza pleców dwa karabinki automatyczne. Na ich widok, oczy najemników rozbłysły, jak dzieciom, gdy dostają wymarzone prezenty pod choinkę.
- Zawsze twierdziłem, że Simon jest pierwszym po Bogu – mruknął „Fakir” z lubością biorąc jeden z karabinków do ręki. Palcami przebiegł po grawerce widocznej za perforowaną osłoną lufy.
- Ty, szefie, jesteś jego łącznością z Najwyższym – zakończył z emfazą, skłaniając głowę. Sue nie mogąc się opanować, pisnęła, niczym mała dziewczynka. Jednym rzutem zgrabnego ciała zeskoczyła z konsoli, na której usiadła. Sięgnęła, razem z drugim najemnikiem, po broń. Była szybsza o sekundę. Wyszarpnęła karabinek i syknęła niczym rozzłoszczona kocica, sprawiając, że mężczyzna cofnął się pół kroku. Uniósł w górę obie dłonie na znak, że nie ma złych zamiarów.
- Jest twój... - rzucił półgębkiem. Skinął głową, gdy Greystone, gubiąc na moment kamienną minę, podał mu jeden z karabinów myśliwskich.
- Jak dzieci – Mark odłączył krótki, masywny magazynek od swojego karabinu i pokazał go zebranym.

- W myśliwskich pukawkach mamy takie cudo. To amunicja wojskowa, zakazana w cywilnym obiegu. Naprowadzana na wskazany cel. Dziesięć milimetrów niespodziewanej śmierci – objaśnił i założył magazynek z powrotem.
- Celownik, to standardowy Ex-Mi, chociaż w cywilnej obudowie. Tego nie muszę ci tłumaczyć Gregory? - Najemnik posłusznie skinął głową. Zawód z jego okrągłej, płaskiej twarzy znikł. Wprawnie sprawdził działanie mechanizmu zamkowego, okiem fachowca oceniając jakość broni.
- Kosztował więcej niż dziesięć sikawek, na które połakomili się oni – ruchem głowy wskazał na Wang i „Fakira". Pogroził im palcem.
- A dla was, niech to będzie nauczka. Nie warto być chytrym...
- Jak to – autentycznie zdziwił się „Fakir", szeroko rozkładając długie, patykowate ręce – przecież po to się zaciągnąłem do Simona. Od zawsze byłem łasy na kasę...

Powierzchnia Lilith. Osiemset dwadzieścia metrów od miejsca lądowania

Rozgwieżdżone niebo przykuwało wzrok, oszałamiało wyglądem, zwłaszcza kilku mgławic, widocznych gołym okiem. Dla każdego astronoma-amatora byłby to raj na ziemi. W obserwacji pomagała przejrzysta atmosfera, nie skażona ani jednym fabrycznym wyziewem.

Greystone, przykryty płachtą maskującą, był nieczuły na takie widoki. Tkwił w tym miejscu od dwóch dni, obserwując wahadłowiec. Pilot i przewodnik nie pojawili się od dwudziestu czterech godzin. Najemnicy wciąż grając role uczestników safari, nie próbowali wejść na pokład pojazdu. Ot myszkowali sobie po okolicy, przynosząc kilka upolowanych zwierząt o dziwacznym, brązowo-pomarańczowym umaszczeniu. Wyglądały jak skrzyżowanie przerośniętego królika i sarny. „Fakir” tylko z jednego zdołał zdjąć skórę, dumnie prezentując ją na zewnątrz mieszkalnego kontenera. Nawet stąd można ją było dostrzec, jaśniejącą w mroku.

Mark zerknął na wielofunkcyjny komputer przypięty do nadgarstka. Dochodziła czwarta czasu miejscowego. Zasępił się, obserwując wirtualną wskazówkę sekundnika. Bezpowrotnie uciekał im czas, którego nie mieli zbyt wiele do dyspozycji. Nagle, na granicy zasięgu mikrofonów kierunkowych usłyszał cichy szum. Powoli obrócił się, zwiększając czułość urządzeń, zamontowanych na hełmie. Komputer natychmiast przeanalizował dźwięk, rozpoznając go jako silnik elektryczny.

Mimo zbliżającej się konfrontacji, Mark odetchnął z ulgą. Skontrolował stan broni i uznawszy, że wszystko jest w porządku, powrócił do obserwacji. Płachta maskująca blokowała promieniowanie podczerwone, nadmiar ciepła wysyłając poprzez długą, wąską chłodnicę wprost w ziemię. Bez obaw słuchał nadjeżdżającego pojazdu. Wreszcie pojawił się kanciasty kształt sześciokołowego wszędołazu, wyrastający ponad falujący ocean wysokiej do pasa trawy.

Zatrzymał się niespełna sto metrów od kryjówki Greystone'a. Nawet bez mikrofonów

kierunkowych dało się słyszeć szczęk otwieranych drzwi.
- Śpią, śpią... - ten przyciszony głos, to bez wątpienia był ich przewodnik. Mark uśmiechnął się krzywo. Bezbłędnie go rozszyfrował, jeszcze na stacji orbitalnej.
- Pamiętajcie – ten bas musiał należeć do potężnego człowieka. Greystone wyobraził go sobie, łysego bezwzględnego olbrzyma.
- Kobietę łapiemy bezwzględnie żywcem. To nasza żyła złota. Pozostałych, jak się da...
- Jej prawą rękę musimy zabić. To ten typ, który zamawiał lot – przewodnik przekonywał półgłosem.
- To musi być były wojskowy. Jedyny, który może nam sprawić kłopoty – słysząc to, Mark pokręcił głową z politowaniem. Musiał napędzić przemytnikowi niezłego stracha, skoro koniecznie chciał się go pozbyć.
- Na pewno nie mają więcej broni? - ten szept był niemal nierozpoznawalny.
- To debile... - warknął w odpowiedzi przewodnik – widziałem dwa stare karabiny na amunicję

prochową. Jak można lądować na nieznanej planecie z czymś takim...?
- Nieważne – przerwał mu bas dowódcy – to, co znajdziemy w kontenerze, należy do nas. Wojskowi nie lubią, gdy się spóźniamy, więc do roboty!.
Rozmowy umilkły. W zamian za to, Greystone usłyszał szelest traw, gdy kilka osób poczęło iść w stronę lądowiska. Zachowywali się jak myśliwi podczas nagonki, z wprawą otaczając kontener ze wszystkich stron.
Ukryty najemnik w spokoju obserwował na trójwymiarowym odwzorowaniu mapę dźwięków, tworzoną przez komputer. Nie reagował, gdy przeciwnik podchodził do schronienia najemników coraz bliżej. Dopiero gdy od kontenera dzieliło ich niespełna dwadzieścia metrów, ostrożnie uniósł się w górę. Przyłożył broń do ramienia. W celowniku doskonale widział plecy najbliższego z napastników. Wypuścił powietrze i powoli ściągnął spust. Poddźwiękowa amunicja, dodatkowo wyciszona długim tłumikiem, nie pozwalała zorientować się przemytnikom, że są

ostrzeliwani. Cel, trafiony dokładnie w kręgosłup fragmentującym pociskiem, runął bez jednego jęku. Ciche kliknięcie oznajmiło kolejny nabój w komorze. Greystone płynnym ruchem przesunął broń ku kolejnemu celowi. Ten stał już przy drzwiach, gdy dosięgnął go odległy strzał. Tym razem trafiony zdołał zareagować wydając nierozpoznawalny gulgot, budząc alarm wśród pozostałych.

- Co się dzieje? - rozbrzmiał czyjś szept, dobiegający od strony wszędołazu. Odpowiedziała mu cisza. Pozostali napastnicy, w niepewnej sytuacji przypadli do ziemi, na wszelki wypadek starając się nie wystawiać na niebezpieczeństwo.

- Henk leży przy drzwiach – odpowiedział ktoś, ukrywający się po prawej stronie kontenera. Greystone uniósł się nieco wyżej, próbując namierzyć mówiącego.

- Wszyscy, potwierdzić gotowość – ten sam szept pozostałego przy wszędołazie dowódcy napastników. Ponownie zapadła cisza. Mark przygryzł wargę. Wiedział, że atakujący zaraz się zorientują w sytuacji. Ocenił odległość od

wszędołazu. Już miał się wysunąć spod płachty, gdy dostrzegł na tle nieba potężną sylwetkę człowieka. Natychmiast podniósł karabin i celując w środek tułowia, nacisnął spust.
- Jaja sobie... - przywódca przemytników nie dokończył zdania, gdy salwa wyrwała mu dziurę wielkości pięści w potężnym torsie.
- Uwaga....! - rozległ się czyjś dramatyczny okrzyk. Mark jednym ruchem ręki uruchomił łączność bezpośrednią.
- Są wasi. Potrzebuję jednego żywego! - przez celownik widział, jak trójka najemników wyskakuje przez okna kontenera. Zaskoczeni atakujący zaczęli się podnosić, wystawiając się na cel Greystone'owi. Walka trwała jeszcze piętnaście sekund. Kilkanaście strzałów rozeszło się szeroko po prerii i zapadła cisza. Mark obserwował przez chwilę, jak trójka jego ludzi wiąże jednego z napastników, po czym zrolował płachtę, przeładował broń i wstał. Powoli, krok za krokiem, podszedł do wszędołazu. Obszukał zabitego, leżącego tuż przy drzwiach pasażera, obejrzał wnętrze. Łazik, jakich widział już wiele. Ani broni, ani nawet racji żywnościowych.

Zaniepokoił się. To mogło oznaczać, że gdzieś w pobliżu jest przemytnicza skrytka. Nie tracąc więcej czasu, wrócił do kontenera. Już z oddali widział rozradowaną twarz „Fakira”. Klęczał przy drzwiach, ubezpieczając kolegów.
- Szefie, koronkowa robota – szepnął, skłaniając się nisko – rzeź niewiniątek...
- Zobaczymy, jakich niewiniątek – mruknął Mark, wchodząc do środka, odprowadzany pełnym uwielbienia wzrokiem podwładnego.

Ciasne wnętrze kontenera rozjaśniała pojedyncza świetlówka. Na wąskim, solidnym stole leżał związany człowiek. Mark natychmiast rozpoznał go. To był ich przewodnik. Gregory w milczeniu przytwierdził miotającego się człowieka pasami. Wang stojąca po drugiej stronie stołu, wpatrywała się w jeńca, niczym kot w łatwą zdobycz.
- Stwierdziłeś, że zarobisz na nas więcej? - Zaczął Mark, odstawiając karabin do szafy. Jak gdyby rozmawiał o źle odrobionej pracy domowej. W jego głosie nie sposób było wyczuć gniewu.
- Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? - dodał z lekką przyganą, sięgając po aluminiowy,

składany stołek. Powoli zbliżył się do głowy znieruchomiałego naraz mężczyzny i szepnął mu konfidencjonalnie.
- Proponuję ci układ. Powiesz wszystko, na czym nam zależy, a umrzesz bezboleśnie... - związany pokręcił przecząco głową i warknął.
- Nie wiecie, z kim zadarliście, kto za mną stoi... - starał się nadać swemu głosowi wściekły ton, ale przebijała przezeń rozpacz. Krótka, jednostronna walka dobitnie mu uświadomiła, jak bardzo pomylił się w ocenie swoich pasażerów.
- Jasne... - westchnął Mark i wstał. Skinął głową w stronę Wang. Drobna brunetka oblizała wargi.
- Jeśli sądzisz, że wytrzymasz jej pieszczoty... - nim jeniec zdążył odpowiedzieć, Sue bezceremonialnie wbiła mu w przedramię staromodną igłę, połączoną ze strzykawką.
- Zainteresuje cię ten środek – odezwała się, objaśniając przemytnikowi swe działania. Związany mężczyzna zacisnął zęby, gdy wyciągnęła igłę z ciała.
- Zacznie działać w ciągu kwadransa – usiadła na stołku, rozłożonym poprzednio przez Greystone'a. Jeniec czuł jej zapach, spoglądał

przez chwilę w jej wielkie ciemne oczy, dopiero gdzieś w głębi dostrzegając okrucieństwo. Głos uwiązł mu w gardle.
- Nie będziesz w stanie poruszyć się, ani zasnąć. Mało tego, twój układ nerwowy będzie w stanie hiperaktywności. Każdy impuls będzie zwielokrotniony – szeptała mu do ucha, niczym kochanka. Gregory szybkim krokiem ewakuował się na zewnątrz. Mark zwalczył w sobie ogromną ochotę na pójście jego śladem. Stwierdził, że potrzebuje raz na jakiś czas seansu odstraszającego, by za bardzo nie zbliżyć się do Sue Wang, zakładającej właśnie biały, lekarski kombinezon... .
Pół godziny później, przez prerię przetoczył się zwierzęcy ryk torturowanego przemytnika...

Powierzchnia planety Lilith, teren zastrzeżony, osiemdziesiąt kilometrów od miejsca lądowania.

- Łączność nawiązana – Mark usłyszał przytłumiony meldunek „Fakira”. Wąska, przypominająca rybi szkielet, antena łączności tachionowej powoli obracała się, śledząc ruch frachtowca na orbicie.
- Córka wzywa matkę – odezwał się Greystone. W milczeniu oczekiwał na odbiór, starając się wyłowić głos Simona spośród trzasków i zakłóceń.
- Zrób coś z tym śmieciem w eterze... - rzucił po chwili do „Fakira”. Ten wetknął głowę do przedniej kabiny wszędołaza i odpowiedział, bezradnie rozkładając ręce.
- To od gwiazdy centralnej. Widocznie Bellerofont przechodzi przez horyzont.
- Zgłasza się matka! - Odległy głos dowódcy sprawił, że Greystone zapomniał o rozmowie z podwładnym.

- Gotowość do wykonania zadania. Woźnica nie żyje, współpracował z gniazdem. Czy kontynuujemy zgodnie z planem? - Mark umilkł, czekając w napięciu na odpowiedź. Wyduszona z przemytnika informacja, że są płatnymi mordercami, eliminującymi dla rządowej placówki wszelkich ciekawskich na powierzchni planety, wstrząsnęła całą czwórką. Nie spodziewali się, że przeciwnik tak szybko zainteresuje się ich działaniami. Z drugiej strony, mogła to być czysta prewencja. Niestety, jeniec nie zdążył potwierdzić tych domysłów... .
- Bez zmian. Uruchamiamy rezerwowy punkt spotkania... - ostatnie słowa Greystone bardziej odgadł niż usłyszał. Odetchnął z ulgą. Jean, mimo ryzyka zdekonspirowania, zdecydował się na zabezpieczenie odwrotu dodatkową maszyną transportową. Przemknęła mu przez głowę myśl, że być może Simon nie powiedział mu wszystkiego, skoro decyduje się na taki ryzykowny krok... .
- Sue, teraz wszystko zależy od ciebie – rzucił przez ramię Mark. Dziewczyna pojawiła się tuż za jego plecami.

- Jestem gotowa... - cichy głos zabrzmiał tuż przy jego uchu. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Sesja tortur, której był świadkiem, skutecznie zabiła w nim jakiekolwiek pożądanie.
- Rozstawiamy się tutaj – uruchomił trójwymiarową mapę terenową, wykonaną przez drony. Wskazał dwa niewielkie wzgórza.
- Stąd będziemy mieli najlepsze pola ostrzału. Pamiętaj, że jeniec nie będzie miał skafandra kameleona, tylko zwykłą płachtę maskującą – spojrzał uważnie na zamyśloną Azjatkę.
- Kasę dostaniemy tylko za żywego, więc dbaj o niego!. - Skinęła głową i zeskoczyła z wozu. Jej ciało przyobleczone było w jednolity, szary strój, przylegający doń niczym druga skóra. Powierzchnia ubioru zamigotała i Sue znikłaby z pola widzenia, gdyby nie odsłonięta głowa. Założyła kaptur i zlewając się niemal idealnie z otoczeniem, ruszyła naprzód.
- Panowie, mamy dwie godziny czasu, by przygotować się na jej powrót – zadysponował Greystone. Wysiadł z wszędołazu, natykając się na „Fakira” wciąż wpatrzonego w punkt, w

którym zniknęła dziewczyna. Westchnął pod nosem.
- Ech mieć ją tak na godzinę... - zaczął, spoglądając na dowódcę. Ten pokręcił głową przecząco.
- Trzeba było wczoraj posiedzieć przy stole – rzucił zimno Mark – odechciałoby ci się wszystkiego. Lubię Wang, ale to bezlitosna s...ka. I dla własnego dobra, nie zbliżaj się do niej... .

Posterunek obserwacji pogody C-32 na Lilith.

Niskie, prefabrykowane zabudowania widniejące wśród gęstych, karłowatych krzewów, każdy obserwator wziąłby za obóz naukowy. Któż szukałby tu czegokolwiek innego na planecie pozbawionej bogactw naturalnych, z słabo urozmaiconym życiem roślinnym i jeszcze uboższym zwierzęcym? Ot kilkunastu jajogłowych profesorów postanowiło naciągnąć macierzystą uczelnię na koszty, chcąc za wszelką cenę oderwać się od pełnego hałasu, pędzącego wciąż naprzód, wszechświata.
Pomiędzy budynkami pojawił się samotny człowiek. Jasny, widoczny z daleka strój zdawał się wskazywać na naukowca. Dopiero z bliska można było dostrzec dwa wąskie wszczepy cybernetyczne wijące się wzdłuż szerokiej szyi. One zdawał się mówić co innego. Starannie ukryty w dłoni pistolet plazmowy również. Mężczyzna rozejrzał się, skanując rozległą przestrzeń dookoła. Budynki zostały

naszpikowane aparaturą rozpoznawczą, zarówno pasywną, jak i aktywną, ale korzystano z niej niezwykle rzadko. Dowódca placówki wychodził z założenia, że lepiej być niewidocznym, niż bombardować impulsami wszystkich dookoła, przechwalając się, jakie to wspaniałe wyposażenie zafundował im rząd.

Mimo zaawansowanych urządzeń, człowiek nie zdołał wykryć intruza. Sue Wang płasko przylgnęła w gęstej kępie krzewów, nie spuszczając ani na moment wzroku ze strażnika. Odczekała kilka minut, po czym płynnie zsunęła się wzdłuż niewielkiego strumyka, leniwie snującego się zakosami. Zgodnie z mapą, otrzymaną od Simona, gdzieś tu były wyloty kanałów wentylacyjnych podziemnej instalacji. Zaklęła w myślach, czołgając się powoli poprzez karłowate krzaki. Brakowało jej hełmu zwiadowcy, z mikrofonami kierunkowymi, łącznością i obrazowaniem terenu. Tu skazana była na własne zmysły. Usłyszała jakiś dźwięk. Machinalnie obróciła głowę i znieruchomiała, spojrzawszy prosto w pysk nieznanego zwierzęcia idącego jej śladem. Miało nie więcej

niż metr w kłębie, ale potężne szczęki z pewnością nie należały do roślinożercy. Czuła, że ją dostrzegł. Z odległości niespełna trzech metrów żaden kamuflaż nie mógł być w stu procentach skuteczny.
Nad głową drapieżnika pojawił się masywny ogon, zakończony ostrym, kościanym kolcem. Szykował się do ataku. Sue przesunęła dłoń wzdłuż ciała, opierając ją o rękojeść noża. Dostrzegła, jak kłęby mięśni zwierzęcia spinają się do skoku i przetoczyła się w bok. Kolec ogona uderzył w ziemię tuż obok jej głowy. Ciężkie, wyposażone w solidne pazury łapy, wylądowały chwilę później. Zwierzę, zmylone kamuflażem, chybiło, ale niewiele. Wang spięła się, wkładając w to uderzenie wszystkie siły. Doskonale wyprofilowane ostrze ze zgrzytem wbiło się pod wydłużoną czaszkę zwierzęcia. Powietrzem wstrząsnął ryk bólu drapieżnika. Odskoczył gwałtownie i pognał przed siebie, nie podejmując walki. Wang natychmiast schowała nóż i na czworakach przeszła kilkanaście kroków. Usłyszawszy czyjeś kroki, rozpłaszczyła się na ziemi.

- Znowu to wredne bydle – usłyszała męski głos nieopodal – nie, nie widzę go. Zaznaczył swój teren.... - na chwilę zapadła cisza.
- Mam tu kilka plam krwi, widocznie spotkał drugiego amatora na ludzkie mięso...
Z biciem serca czekała, aż strażnik odkryje jej obecność, ale nic takiego się nie stało. Cierpliwie czekała, aż oddali się wystarczająco daleko, by mogła ruszyć się z miejsca. Dopiero po długich kilkudziesięciu minutach ruszyła naprzód, starannie omijając miejsce niespodziewanej walki.
Zatrzymała się na chwilę, by odpocząć. Serce biło szybko z wysiłku. Wang za wszelką cenę starała się uspokoić oddech. Dosłyszała szum powietrza, dochodzący spod pobliskiej kępy krzewów. Podczołgała się w tamtym kierunku. Na widok grubej, tytanowej pokrywy z dziesiątkami niewielkich otworów, zmarszczyła brwi.
Sięgnęła po granat plazmowy. „Zobaczymy, ile są warte twoje sztuczki, Mark...” mruknęła pod nosem. Zgodnie z instrukcją Greystone'a, odbezpieczyła granat, usuwając jednocześnie dolną, reaktywną część. Rozległo się ciche

skwierczenie, gdy ładunek plazmy stopniowo tracił osłonę magnetyczną, wyciekając bezpośrednio na osłonę szybu. W kilka minut było po wszystkim. Wang pokręciła głową z niedowierzaniem. W tytanowej pokrywie widniała dziura niemal metrowej średnicy. Jej brzegi jeszcze się jarzyły jasną czerwienią, ale Sue bez wahania wsunęła się do środka, klękając na niskiej półce, poniżej której w powolnym tempie obracały się śmigła wentylatorów. Zwinnie, jak gdyby robiła to przez całe życie, przesuwała się pomiędzy nimi, ryzykując przecięcie na pół. Zatrzymała się dopiero przy ostatnim, gdy poniżej rozpościerał się już tylko gładki jak lustro, okrągły szyb prowadzący w dół. Jego koniec niknął w mroku.

Sue zsunęła się na samą krawędź i jednym skokiem znalazła się przy ścianie. Kombinezon przylgnął ciasno do gładkiej powierzchni. Uspokoiła oddech, podświadomie spodziewając się, że runie w bezdenną otchłań. Gdy nic takiego się nie stało, zaczęła powoli schodzić w dół. Niemal od razu dostrzegła rząd wylotów powietrza, a wśród nich, ten właściwy.

Wywindowała się tam błyskawicznie. Przez lekką, aluminiową przegrodę dostrzegła wąski korytarz i kilka cel. Odetchnęła głęboko i z wnętrza kombinezonu wyłuskała dwa ładunki EMP... .

Punkt spotkania Alfa

- Szefie, muszę na pięć minut – szept „Fakira” omal nie wytrącił Greystone'a z równowagi.
- Coś ty żarł człowieku... - warknął, poprawiając celownik karabinu – lej, ale tak na raz dwa. Wang powinna być lada chwila.
- O ile nie skrewiła – mruknął Gregory, obsadzający drugie wzgórze, leżące niespełna sto metrów dalej. Mark nic nie odpowiedział. Jeśli Azjatka zawiodła, równie dobrze mogli się zbierać. Jej samotna inwigilacja rządowej placówki więziennej była jedyną szansą sukcesu. Fakt, że Simon wydał wszystkie oszczędności oddziału, był niczym postawienie wszystkiego na jeden numer, w grze w ruletkę. Wóz albo przewóz. Nigdy nie bał się o przyszłość, ale teraz zaniepokoił się. Bez środków na wydostanie się z odległego rejonu przestrzeni, z etykietą przestępcy, istotnie najbliższe tygodnie nie jawiły się optymistycznie... .

- Ruch na przedpolu! - Spokojny, stonowany głos drugiego strzelca, natychmiast wyrwał Marka z otchłani negatywnych myśli. Przytknął oko do celownika optycznego. Nie dostrzegł nic, poza łagodnym falowaniem oceanu zieleni.
- Na godzinie jedenastej – Gregory wydawał się czytać w myślach dowódcy, odpowiadając mu, nim zadał pytanie. Posłusznie przesunął broń w tamtym kierunku. Nie dostrzegł tam nic. Minuty upływały powoli. Żaden ze strzelców nie ważył się odezwać, nie chcąc ryzykować wykrycia transmisji.
Mark przymrużył oko. Wydawało mu się, że wśród falującej trawy, na chwilę pojawiła się niewielka wyrwa. Po chwili druga. Wiedział co to oznacza. Szybko przełączył celownik z funkcji podstawowej, na obserwacyjną. Dziesięć sekund później otrzymał odczyt pocisku, lądującego niespełna sto metrów przed ich pozycją.
- Gregory, namiar krzyżowy na strzelca! - warknął cicho Mark. Moment później, na ekranie komputera balistycznego i celownika pojawiła się potencjalna pozycja przeciwnika. Z odczytów wynikało, że strzela z karabinu magnetycznego.

Mordercza broń, przed którą nie było ucieczki. Greystone wiedział, że jedyną ich przewagą jest zaskoczenie. Jeśli się nie uda, snajper rozstrzela ich wszystkich, nawet się nie pojawiając.
Uważnie przejrzał wskazaną miejscówkę, odległą o dobre półtora kilometra. Kępa niskich, karłowatych krzewów nie wyróżniała się niczym szczególnym. Minęła minuta. Gdy sądził, że przeciwnik ewakuował się w inny rejon, dostrzegł masywną lufę szynowej broni magnetycznej. Na twarzy Greystone'a pojawił się grymas złośliwego uśmiechu. Oto obcy strzelec wyborowy popełnił szkolny błąd. Widocznie miał pełnić rolę nagonki, kierując uciekającą Wang na pozostałych myśliwych. Nie wziął jedynie pod uwagę tego, że dziewczyna może mieć wsparcie. Zalokował pocisk na celu, czekając przez ułamek sekundy, aż komputer balistyczny potwierdzi namiar. W tej samej chwili, przez celownik dostrzegł twarz snajpera, do połowy ukrytą w hełmie zwiadowcy. Dostrzegł go z pewnością, bowiem zaczął kierować swoją broń w stronę Greystone'a. Spóźnił się tylko o trzy sekundy. Mark nacisnął spust. Karabin szarpnął

uspokajająco, w niemal absolutnej ciszy. Pocisk z trzaskiem przekroczył barierę dźwięku, trafiając przeciwnika dokładnie w środek twarzy. Chwilę później ciałem samotnego snajpera wstrząsnęła druga kula, posłana przez Gregory'ego.
Nad niespodziewanym polem bitwy panowała cisza.
- I jak? Już jestem – za plecami Greystone'a rozległ się cichy szept „Fakira”.
Dowódca nic nie odpowiedział, uruchamiając na chwilę kanał łączności krótkiego zasięgu.
- Wang? Snajper usunięty. Jeśli mnie słyszysz, wędruj za południowe wzgórze. Osłaniamy cię... - odpowiedziała mu cisza, ale dostrzegł po chwili niewielki ruch traw. Z pewnością ktoś podążał przez pole. Powoli i bez pośpiechu. Mark pokiwał potakująco głową. Wstukał kilka komend na podręcznym komputerze. Antena łączności tachionowej, stojąca pomiędzy wzgórzem, a zaparkowanym pośród traw wszędołazem ożyła, unosząc sztych w górę, wysyłając zakodowany wcześniej sygnał.
Minęło niemal pięć minut, gdy spomiędzy traw wyczołgał się człowiek, przykryty płachtą

maskującą. Dopiero po dłuższej chwili, Mark zdołał dostrzec szczupłą Azjatkę, idącą krok w krok za uwolnionym jeńcem. Widząc dowódcę, dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.
- Mam nasz towar – podeszła do skulonego człowieka i energicznie odsłoniła płachtę. Oczom Marka ukazał się drobny, niski nastolatek o przerażonej twarzy.
- Przedstawiam, Michał Borgand, syn senatora Piotra Borganda – chłopak drżał na całym ciele, wpatrując się nieufnie w postawnego mężczyznę. Nie wstawał z kolan, jakby w obawie, że ktoś go zastrzeli.
- Tak wygląda sto milionów – mruknął w zamyśleniu Greystone. Obrócił głowę, w stronę nadchodzącego „Fakira”. Najemnik nonszalancko zarzucił pistolet maszynowy na ramię i szedł wyprostowany wprost do nich.
- No Wang – protekcjonalny głos „Fakira” obudził w Sue wewnętrzny ogień.
- Przynajmniej raz się do czegoś przydałaś... - nim dziewczyna zdążyła obmyślić odpowiedź, na oczach zebranych, głowa najemnika rozprysła się, zmieniając się w krwawą mgłę. Ciało Greystone'a

zareagowało bez jego wiedzy. Rzucił się na ziemię, wprost w trawę.
- Za wzgórze – warknął – natychmiast! - Wściekły ton dowódcy zwrócił uwagę Wang. Nie odezwała się, popychając przed sobą byłego więźnia. Nigdy wcześniej nie dostrzegła jakichkolwiek silnych emocji w zastępcy Simona. Teraz wydawał się być wulkanem emocji. Był zły na siebie, że nie przewidział wsparcia snajpera, ścigającego Sue.
- Gregory, uważaj na drugiego strzelca... - głos Marka uwiązł mu w gardle. Widział ciało swego podwładnego, odrzucone do tyłu impetem pocisku z szynowego karabinu magnetycznego. Nie miał najmniejszych szans.
- S..kinsyn – warknął do siebie Greystone – rozpoznał nasze pozycje. Teraz obejdzie nas z jednej, albo drugiej strony i dokończy dzieła... . - jego głos przybrał znów chłodny, bezosobowy ton. Wang i chłopak spojrzeli nań z zaskoczeniem. Nawet w rozszerzonych oczach Sue pojawiły się iskry strachu. Widziała przerażającą śmierć „Fakira”.

- Zaatakujemy go... - zaczęła, ale Mark uciął jej wypowiedź gwałtownym ruchem ręki.
- Cicho! - Szepnął, ze złością spoglądając na wszędołaz, odległy o rzut kamieniem od wzgórza. Hełm zwiadowcy zostawił na fotelu. To był jego błąd, gwóźdź do wspólnej trumny całej trójki. Przeciwnik musiał dysponować czymś takim, mając nad nimi przygniatającą przewagę. Po raz pierwszy w życiu poczuł się bezbronny. Nagle usłyszeli cichy gwizd i w górną część wzgórza przeszył pocisk. Energia uderzenia była tak duża, że część rdzenia przebiła się przez piasek i pomknęła dalej.
- Sprawdza, czy nie ukryliśmy się na górze – westchnęła Wang. Odruchowo skuliła się, jak gdyby chciała zmniejszyć powierzchnię celowania.
- Uhm- chrząknął Mark, spoglądając w ciemniejące niebo. Nadchodziła noc. Dostrzegł mrugający punkt. Początkowo wziął go za gwiazdę, ale jego szybki ruch wyprowadził go z błędu.
- Córka do matki – rzucił w mikrofon. Przed nami siedzi snajper. Ewakuacja niemożliwa do czasu

jego eliminacji... - odpowiedziała mu cisza. Przygryzł wargi. Jeśli to był patrolowiec z orbity... to nie mieli szans. Nagle dostrzegł nad głową dwa ciemne kształty, które przemknęły tuż nad nimi.
- Głowa w dół! - wrzasnął, nie bacząc na to, że zostanie namierzony przez snajpera. Sekundę później rozległ się ryk eksplozji termobarycznej, która ogarnęła cały dziesięć kilometrów pola przed nimi. Gwałtowny wiatr, jaki zerwał się chwilę później, przewrócił wszędołaz i porwał ze sobą płachtę maskującą nastolatka.
W polu widzenia całej trójki pojawił się masywny, opancerzony pionowzlot. Zniżał lot, zasypując teren przed sobą ulewą ognia.
- Naprzód. Wang pierwsza, młody drugi, ja na końcu! - Dziewczyna skinęła głową i nie czekając, pomknęła naprzód, klucząc pomiędzy zerwanymi kępami traw. Gorąco biło od morza ognia, oddzielającego ich od strzelca wyborowego. Boczne drzwi w pionowzlocie odsunęły się, ukazując szczupłą sylwetkę Simona. Wciągnął dziewczynę do środka, zaraz potem nastolatka. .

Mark z rozpędem wskoczył do środka, w momencie, gdy pionowzlot zaczął się wznosić. Trzasnęły zamykane drzwi. Zebrani na pokładzie poczuli nagłe przeciążenie, gdy pilot uruchomił pełną moc silników.
- Pozostali? - Jean zapytał krótko, wciąż patrząc na płonące trawy.
- Zginęli...
- Nie na darmo – Simon uśmiechnął się w stronę zszokowanego chłopaka. Przygarnął go silnym ramieniem i potrząsnął.
- No Michał, tato nie może się doczekać twego powrotu – dowódca oddziału najemników wypowiedział to takim tonem, jak gdyby odnalazł przedszkolaka gdzieś w wielkim mieście. Mark oddychał ciężko, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Jeszcze się nie otrząsnął z bitewnego zgiełku.

Pionowzlot wchodził na orbitę, kierując się w stronę ociężałego frachtowca. Silniki wysłużonej jednostki zabłysły pełnym ciągiem. Gdzieś za horyzontem czaiła się stacja orbitalna.

Najemnicy Simona mieli niewiele czasu...

Spis treści

Układ 51 Pegasi. 4
Orbita geostacjonarna planety Lilith, dwie jednostki astronomiczne od 51 Pegasi. 19
Stacja orbitalna HSOS, orbita geostacjonarna planety Lilith.....27
Wahadłowiec transportowy „C-15”, orbita Lilith. 32
Powierzchnia Lilith. Osiemset dwadzieścia metrów od miejsca lądowania.....43
Powierzchnia planety Lilith, teren zastrzeżony, osiemdziesiąt kilometrów od miejsca lądowania. 52
Posterunek obserwacji pogody C-32 na Lilith.. 56
Punkt spotkania Alfa.....62

Umbrianie – wygnańcy obcej rasy Geminosów zamieszkująca układ planetarny jednej z gwiazd w układzie Altaira

Bellerofont – pierwsza znana planeta pozasłoneczna krążąca wokół gwiazdy klasy Słońce. Tzw. „gorący Jowisz” krążący niespełna 0,05 j.a od gwiazdy.

ZAPRASZAM DO POZOSTAŁYCH POZYCJI LITERACKICH

Space operę

„Incydent na Rigil Prime”

„Rigil Prime w ogniu tom I”

„Rigil Prime w ogniu tom II”

Historia powstania i gwałtownego wybuchu pierwszego konfliktu światowych potęg w systemie Alfa Centauri

Serię opowiadań Sci-fi

„Otchłań Ganimedesa”

„Ryft Misharu”

Opowieść o samotnym pilocie, usiłującym odnaleźć się w bezwzględnym świecie megakorporacji kolonizującej podlodowy ocean Ganimedesa

„Operacja Thor”

Opisuje wydarzenia dziejące się kilkadziesiąt lat przed „Incydentem na Rigil Prime”, prowadzące do powstania pierwszego państwa poza Ziemią.

Postapokalipsę

„Wyrzut Koronalny”

Zagłada nie musi oznaczać śmierci miliardów istnień w jednej chwili. Wystarczy, że zniknie prąd w gniazdku, a wkrótce ludzie zaczną umierać…

„Toutatis znaczy Zagłada”

Czarny sen wielu astronomów ziszcza się na początku XXI wieku. W Ziemię uderza dziesięciokilometrowa asteroida. Ludzie zapominają o swoim człowieczeństwie, liczy się tylko przetrwanie…

Fantasy

„Zerwane kajdany”

Książę, następca zmarłego króla, panującego nad królestwem ludzi, chce zerwać niewolniczą zależność od elfiego cesarstwa. Czy mu się to uda?

Kryminały i sensacje

„Krąg śmierci”

Historia oficera wojsk specjalnych, próbującego w cywilnym życiu zrealizować marzenia z młodości. Na jego drodze staje gromada miejscowych zabijaków. Okazuje się jednak, że konflikt ma głębsze dno.

„Rodzinna wendeta”

Pierwsze poważne śledztwo młodej policjantki, może się skończyć czymś gorszym, niż śmierć. Lektura tylko dla ludzi o mocnych nerwach.

Literaturę faktu

„Saksy po polsku”

Oparta na faktach opowieść polskiego emigranta zarobkowego we Włoszech. Obozy niewolniczej pracy – wszystko to w sercu Europy, w XXI wieku.

oraz bezpłatne tytuły

„Trigun znaczy niedźwiedź” przygody myśliwego w świecie „Zerwanych Kajdan”

„Zemsta przemytnika” – nie każdy przemytnik kierują się tylko gotówką. Tak przynajmniej mówią mędrcy… . A może to tylko legenda? W świecie „Najemnego Szwadronu” są również tacy, którzy trudnią się tym dobrze popłatnym zajęciem…

„Śmiertelne przeznaczenie” – opisuje wydarzenia, które doprowadziły do „Operacji Thor”

Do zobaczenia na

www.tomaszbiedrzycki.pl

Jelenia Góra 2015

ISBN 978-83-64514-56-2